

Smuga cienia

Jacek Wakar, Polskie Radio

Teatr Grzegorza Jarzyny nie zmienił się ani dziś, ani wczoraj. O tym, że niedawny buntownik przechodzi na stronę klasyków, pisało przecież już przy okazji spektaklu „T.E.O.R.E.M.A.T.” według Piera Paola Pasoliniego, w którym najmocniej do tej pory stawiał pytanie o istnienie Boga i jego obecność w świecie. Po „Między nami dobrze jest” Doroty Masłowskiej, kiedy rozpinął w swoim teatrze międzypokoleniową więź między Danutą Szaflarską a Aleksandrą Popławską, przypięto i jemu, i autorce tekstu łatki konserwatystów. Obie premiery, zrealizowane w tym samym TR Warszawa, dzieliły niespełna dwa miesiące. Po nich stało się jasne, że cudowne dziecko polskiej reżyserii, podpalające lont pod „Ślubami pańskich” pocziwego Fredry, już raczej nie powróci. Nie wszystkim było to w smak. Szybko pojawiły się zarzuty, że Jarzyna zgrzeszył, zgłosił akces do głównego nurtu, przeprosił się z tradycyjnymi konwencjami. Jakby tak trudno było się pogodzić, że artysta ma prawo do wewnętrznej zmiany i do modyfikacji języka teatralnych wypowiedzi. Że nie chce zamykać się w szufladzie buntownika, ale szuka nowego siebie w nowym czasie. Łatwiej go było mieć na widelcu jako wiecznego wicherzyciela.

Zawsze imponował mi Grzegorz Jarzyna inscenizacyjną sprawnością, zawsze widziałem w nim najpierw reżysera wytrawnie żonglującego przeciwstawnymi często scenicznymi stylami. „Bzik tropikalny” był rzeczywistym objawieniem. „Nieзиден-

„Druga kobieta” według filmu Johna Cassavetes to najbardziej osobiste przedstawienie Grzegorza Jarzyny. Gorzka opowieść o schyłku młodości i oszustwie teatru z wielką rolą Danuty Stenki

tyfikowane szczątki ludzkie” rozgłos wokół młodego twórcy utrzymał. „Iwona, księżniczka Burgunda” ze zjawiskową Magdaleną Cielecką w roli tytułowej stanowiła udaną na ów czas próbę dotknięcia teatralnej metafizyki. Ale Jarzyna zamknął się w swoim wizerunku artysty trendsettera, kolejne spektakle z aplauzem przyjmowane przez zastępy tak zwanych krytyków towarzyszących jedynie powielający zastosowane już chwytły. Poza tym pracował szybko, rzucając się na gigantyczne wyzwania. Klęską okazały się adaptacje „Doktora Faustusa” Tomasza Manna oraz „Idioty” Fiodora Dostojewskiego. Powiew świeżości i anarchistycznej rebelii przyniósł powrót do dramatu współczesnego – „Zaryzykuj wszystko” Welsa wystawione w akwariu dawnego baru

chińskiego na Dworcu Centralnym w ramach projektu Teren Warszawa.

Może Jarzyna zbyt komfortowo poczuł się omamiony pochlebstwami i poczuciem odniesionego sukcesu, dlatego postanowił sam się z tego kokonu wyrwać. Dość powiedzieć, że już wcześniejsza, zrealizowana w 2001 roku wspaniała „Uroczystość” przyniosła spotkanie z twórcą ciemniejszym, bardziej gorzkim, wreszcie wyrzekającym się doraźnych efektów na rzecz wybrzmienia teatru – do końca, do dna. Oparta na scenariuszu głośnego filmu „Festen” Thomasa Vinterberga widowisko stanowiło przerażający portret rodzinny we wnętrzu i wariację na temat współczesnego Hamleta w jednym. Przejmująco zagrał go Andrzej Chyra, najpierw zdystansowany, a potem przerażony odkrywaniem przez siebie krok po kroku prawdę o najbliższych.

Właśnie ten spektakl powracał do mnie w myślach, kiedy patrzyłem, jak Jarzyna przenosi na scenę filmowe światy Pasoliniego i – „Między nami dobrze jest” to gotowy materiał na filmowy scenariusz – Masłowskiej. Od dłuższego już czasu widać, że reżysera ciągnie w stronę kina, że inspirowanie przenikaniem czasów i przestrzeni, że chce poszerzać scenę – nawet jeśli miało to być jedynie w wyobraźni widzów. W nieudanym „Nosferatu” granym w Teatrze Narodowym co chwila otwierały się wielkie okna, wiatr poruszał białymi zasłonami. Reżyser, wtedy bezskutecznie, próbował budować iluzję, że scena to jedynie przedświadek teatralnego kosmosu. Dalej jest coś więcej – chciał przekonywać.

W tej inscenizacji, podobnie jak chociażby w „T.E.O.R.E.M.A.T.”, powraca temat – jak sądzę – dzisiaj dla

Jarzyny najważniejszy. Reżyser długo nie chciał dorosnąć albo mu na to nie pozwalano. Tamtymi przedstawieniami przeszedł przyspieszony kurs dojrzewania, oczekując, że uczyni to z nim także jego dawna publiczność. Dopuszczał zatem do głosu wielką melancholię. Na niej buduje dziś swój teatr, co w wielu aspektach przybliża go do Krzysztofa Warlikowskiego. Kiedyś tworzyli ramię w ramię, z tym samym w dużej mierze aktorskim zespołem. Potem się rozdzielili, a dziś budują często fascynujące światy równoległe.

„Druga kobieta” stanowi prawdopodobnie najbardziej bezpośrednią wypowiedź Jarzyny na ten temat. Podpisał ją reżyser 46-letni, świadomy swojej pozycji, ale i upływającego czasu. Od 15 lat dyrektor teatru, który ostatnio musiał jednak toczyć o ten teatr bój, aby na powrót poczuć choćby i małą stabilizację. Twórca dojrzały, co nie zamierza nabierać nikogo na swoją wieczną młodość, bo do niczego tego nie potrzebuje. Mężczyzna zdający sobie sprawę z tego, czym jest smuga cienia.

U Cassavetes w „Opening Night” główną rolę zagrała Gena Rowlands, na scenie TR Warszawa mamy Danutę Stenkę. Jest Wiktoria, wybitną aktorką i wielką gwiazdą, świadomą magii swojego nazwiska. Jest jednak przede wszystkim starzejącą się kobietą, lęk przed światem i upływającym czasem topiącą w alkoholu. Rozwala próby, na premierę przychodzi kompletnie pijana. Jednak między kolejnymi sukcesami obnaża płytkość teatru, jego małe oszustwa, przywary i zwyczajną małość tworzących go ludzi.

Właśnie ta warstwa „Drugiej kobiety” już krótko po premierze spotkała się z zarzutami. Nie spodoba-

ło się niektórym, że Jarzyna uderza ponoć w banał, że serwuje podobno telenowelowe dialogi. Telenowelowi w jego przedstawieniu nie zauważyłem, dostrzegłem za to ostrą ironię, z jaką traktuje ludzi sceny i samego siebie. Przyznam, że mi się to nadzwyczaj spodobało. Mieć dystans, zamiast chodzić na koturnach, to jest także miara artystycznej klasy. W dodatku Małgorzata Buczkowska, Agnieszka Podsiadlik, Roman Gancarczyk czy Adam Woronowicz bawią się swoimi postaciami czasami bardzo okrutnie, wyszydając ich oportunizm. Dzięki nim „Druga kobieta” bywa spektaklem bardzo zabawnym.

Na pierwszym planie jest jednak przez cały czas Danuta Stenka. Czasem prowokująca, wręcz wulgarna, chwytająca się każdego szansy na bliskość, grająca nieustannie va banque. Za chwilę rozkładająca na czynniki pierwsze swoją desperację, celebrująca własny upadek i rozpacz, obrzydzanie sobą. Ostra ta rola niezwykle dużo musi aktorkę kosztować. Zagrała ledwie trzy miesiące po wstrząsającej Hram z „Lodu” Konstantina Bogomołowa w Teatrze Narodowym, gdzie widzieć w Stence najbardziej bezkompromisową polską aktorkę. Patrzeć na nią w „Drugiej kobiecie” boli i uzależnia. Jak dla mnie mogłoby się nie kończyć.

Stenka znajduje świetną partnerkę w młodej Justynie Wasilewskiej. W TR widzieliśmy ją w „Nietoperzu”, jest niespokojnym duchem, występowała u Grzegorza, Garbaczewskiego, Klaty. Tym razem wciela się psychotyczną młodą fanke Wiktoria, która próbując zdobyć jej autograf, ginie w wypadku samochodowym. A potem staje się wyrzutem sumienia swojej bogini, jej fantomem i refleksym z młodości. Przypomina jej, że kiedyś potrafiła czuć. Dziś już nie. O tym głodzie nie do zaspokojenia i niezgodzie na umiowanie uczuć są role Stenki i Wasilewskiej, podobnie jak całe przedstawienie Jarzyny.

Fascynujące jest w nim przemierzanie wysokiego z niskim, bardzo filmowe przenikanie planów i perspektyw. Znać, że reżyser przygotowuje się pełną parą do realizacji filmu, ma to być adaptacja „Sowy, córki piekarza” Marka Hłaski. Przeszkadza trochę zbyt bezpośrednie akcentowanie, aby być ponad wszelką wątpliwość zrozumianym. Może mógł pozostawić Jarzyna więcej domyślności widzów, ale bez trudu da się go z tego rozgrześć. Zapewne tak to jest, kiedy kieruje się kamerą na samego siebie. W końcu Wiktoria Gorton z „Drugiej kobiety” to Grzegorz Jarzyna. W tej sprawie nie ma żadnych wątpliwości.

Druga kobieta | według scenariusza filmu „Opening Night” Johna Cassavetes | reżyseria: Grzegorz Jarzyna | TR Warszawa

